

Zajmujące czytanki ilustrowane. Nr. 118.

ST. BURACZEWSKA

# WYCIECZKA NA LITWĘ

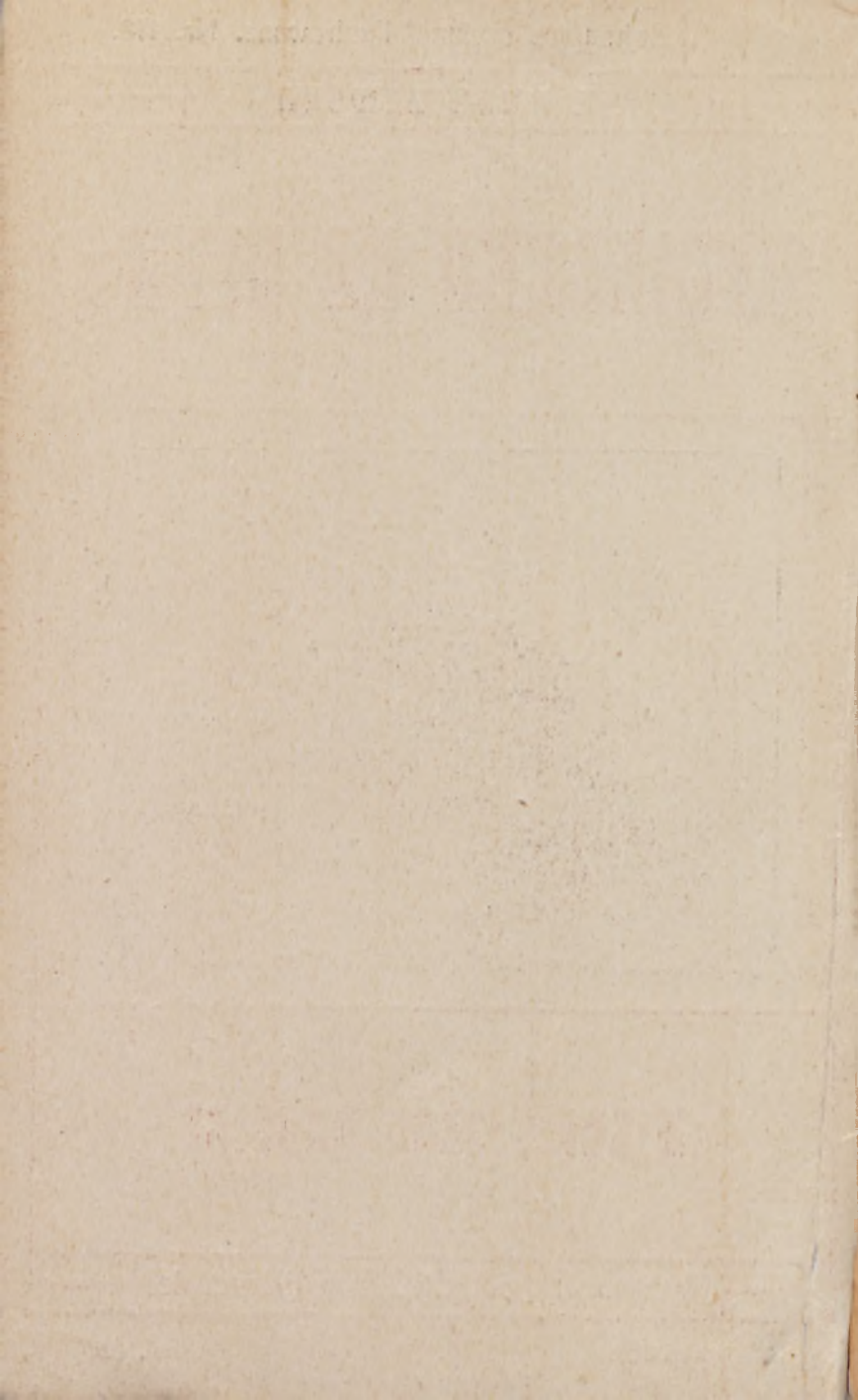


## WILNO I JEGO OKOLICE

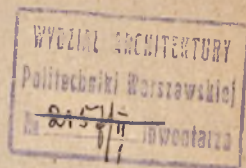
Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

na kop. 12.

hal. 30.



Zajmujące czytanki ilustrowane.



# WYCIECZKA NA LITWE

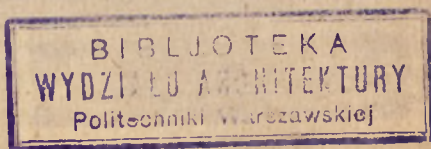
opisała dla młodzieży

St. BURACZEWSKA.

Z RYSUNKAMI.

9(438)/(Wielka i mała) (086)

WARSZAWA. WYDAWNICTWO M. ARCTA.



BIBLIOTEKA  
WYDZ.  
ARCHITEKTURY

184

---

DRUK M. ARCTA w WARSZAWIE, ORDYNACKA 3

1911

## LIST I.

### *Droga Janinko!*

Jesteśmy nareszcie na wsi.

Nie masz pojęcia, droga moja, jak rozkoszuję się zapachem szerokich pól, jak pełną piersią oddycham orzeźwiającą wonią żywicy, którą całymi falami przynosi wiatr z poblizkiego lasu.

Nie zazdrozczę Ci wcale pobytu u wód, bo chociaż tam może też ładnie, ale niema tej swobody, a zbyt dużo ludzi na wsi, doprawdy psuje wrażenie, dosyć się ich ma w mieście.

Nie myśl jednak, że zupełnie brak mi towarzysztwa. Przyjaciółka mamy zamieszkała z nami wraz z synem w moim wieku i o rok młodszą córką; gdy dodamy do tego naszą sporą gromadkę, to widzisz, że jest wesoło i ludno. Nasz dworek chociaż nie bardzo pokaźnie wygląda, jest jednak tak wygodny, że z łatwością dwie rodziny pomieścić może.

Jesteśmy tu dopiero od tygodnia, a już dużo miałam przyjemnych wrażeń.

Tatulek stara się, abyśmy poznali stare pamiątki, jakich tak dużo znajduje się na Litwie, trzeba tylko umieć je odszukać i odtworzyć w wyobraźni w dawnej świetności. Dworek nasz wiejski leży nad Wilją. Z jednej strony przytyka do dużego lasu, a z drugiej rozchodzi się stąd widok bardzo daleki na pola, łąki i wzgorza.

Brzegi Wilji przeważnie dosyć strome, przed-

stawiają albo ostro ścięte osypiska żółtego jak złoto piasku, lub miękką falą zieleni staczają się do wody, to znowu ciemną ścianą wysoko spiętrzonego lasu odcinają się poważnie i trochę dziko od niebieskich fal rzeki.

Jeździmy często łódką, lubię ogromnie kołysać się lekko na fali i płynąć gdzieś w dal z biegiem rzeki i marzyć. Tak mogę płynąć długo, długo i bardzo daleko, choćby do morza.

Wilja jednak nie jest bezpieczną, bo chociaż miejscami płynie cicho i spokojnie, miejscami za to rwie gwałtownie, przewala się po ogromnych głazach, burzy się i szumi.

Biada też niedoświadczonemu wiosłarzowi, który nie potrafi dobrze pokierować łódką, gdy wpadnie na taką podwodną «rapę»\*), przewróci się jak łupinka orzecha. Z tatusem jednak nie boimy się jeździć.

Mamy tutaj ogromną łódź, na której dziesięć osób pomieścić się może, i drugą mniejszą, lekką. Tatusz umie doskonale wiosłować, gdyż wychował się nad Wilją i zna ją dobrze, to też wozi nas najczęściej sam na krótsze wycieczki.

Przed paru dniami wybraliśmy się na większą wyprawę. Pojechała moja mama, nas czworo, nasza sąsiadka, pani Domańska, z Tadziem i Zosią. Tatusz umówił doświadczonego rybaka, który miał razem z nim wiosłować.

Pojechaliśmy do Kiernowa, położonego o kilka wiorst w górę rzeki.

W tamtą stronę droga była dosyć uciążliwa, gdyż nasi wiosłarze musieli walczyć z prądem, a w wielu miejscach, gdzie woda bystro płynie i burzy się, rozbijając się o podwodne kamienie, musieli płynąć tuż koło brzegu, a my wysiadaliśmy na łąd aby im ująć ciężaru.

---

\*) rapa — nagromadzone kamienie w rzece, utrudniające spław.

Za każdym razem tatuś obcierał chustką uznoną twarz, oczy mu jednak błyszczały ożywieniem. Uczuwał zadowolenie po zwalczeniu przeszkody, a zdrowa, fizyczna praca rozszerzała mu płuca, czuł się zdrowym i silnym i to go napełniało radością.

Po kilku godzinach żeglugi dobiliśmy na miejsce. Głodni wszyscy byliśmy porządnie, bo wyjechaliśmy z domu o siódmej rano, a teraz już była dziesiąta. Usiedliśmy więc niedaleko brzegu na murawie w cieniu drzewa i mama zaczęła rozpakowywać zapasy.

Pieczone kurczęta i chleb z masłem smakowały nam bardzo, przyniósł nam też nasz wioślarz z pobliskiego zajazdu kilka flaszek soku brzoźowego, stosownie przyprawionego. Jestto napój bardzo używany na Litwie, robi się go z soku, wytoczonego z brzoź na wiosnę. Orzeźwiający ten napój podobał nam się bardzo.

Natychmiast po śniadaniu udaliśmy się na miejsce, gdzie niegdyś wznosił się zamek.

— Tatusiu, a gdzie są ruiny? — zawołałam z zawodem, gdyśmy się zbliżyli do wysokiej góry, podobnej do świętego stożka.

— Niestety, ruin już niema — odpowiedział tatuś — wejdźmy jednak na tę górę.

Nie było to jednak łatwe. Pani Domańska, osoba dosyć pełna i ciężka, męczyła się ogromnie i tatuś musiał ze wszystkich sił ją podtrzymywać. Mamusia prowadziła mego pięcioletniego braciszka, Jasia, Adaś starszy szedł zuchowato naprzód, Tadzio Domański pomagał Maniusi. Moja siostrzyczka, chociaż już ma dziesięć lat, nie bardzo sobie radzić umie, za każdą razą, gdy jej się noga troszkę usunęła, krzyczała ze strachu. My z Zosią nieźle drapałyśmy się w górę, chociaż wszyscy nieraz musieli sobie dopomagać rękami, a czasem i kolanami, przyczem było śmiechu nie mało.

W końcu stanęliśmy na szczycie. Po starej, obronnej niegdyś twierdzy nie pozostało ani śladu. Widocznie kopano tu w kilku miejscach, szukając starodawnych zabytków, gdyż były gdzieś tam dosyć głębokie doły i w nich widać było szczątki murów i mnóstwo odłamków cegły. To wszystko co pozostało.

Jakże tu inaczej musiało być niegdyś, gdy przed wiekami mieszkali na tej górze książęta litewscy i Krewe-Krewejto, najwyższy arcykapłan pogański!

Usiłowaliśmy wskrzesić w wyobraźni te odległe czasy. Odszukiwaliśmy ślady dokąd mury sięgały i wznosiliśmy je w myśli w górę. Gdzieś tu musiała być też świątynia potężnego boga Perkuna i ołtarz, na którym palił się święty ogień, strzeżony przez kapłanów, bo gdyby zgasł, spowodowałoby to wielkie nieszczęście na kraj cały.

Widok z tej góry był bardzo piękny, chociaż i ten musiał ulec wielkiej zmianie od czasów, gdy tu mieszkał Krewe-Krewejto. Teraz po drugiej stronie rzeki widać obszerną wydłużoną sfalowanego, żółtego piasku, wyglądającego w słońcu jak rozsypane złoto, w dali zarysowuje się rąbek ciemnego lasu; rozciągają się zielone łąki i srebrzyste łany żyta.

Niegdyś, gdzie teraz piaski zaległy, były gęste bory, ale wycięto je i wytrzebiono, a przesterzenie te wyjałowiały i opustoszały.

Niebieska rzeka, wijąc się powyginaną wstęgą, ożywiała i ubarwiała ten widok. A tam gdzieś na końcu horyzontu widniały sylwetki wzgórz otulonych w zimową mgłę. Staliśmy tu długo zapatrzeni i mimowoli tęskne jakieś uczucia nas ogarnęły.

Tymczasem na zachodzie ukazał się ciemny pasek, powiał chłodny wietrzyk, coraz wyżej zaczęła się podnosić chmura i powoli zaciągała niebo.



Słońce stojące na szczycie horyzontu, rzucało gorące blaski, upał stawał się nieznośny. Po chwili wiatr ustał zupełnie, a kłębiące się zwały szarych obłoków, oświetlone jaskrawo, nabrały jakiegoś ponurego, miedzianego blasku i rzucały cień na złocistą płaszczyznę, nadając jej barwę sino-niebieskawą, niewypowiedzianie smutną.

Widok zmienił się zupełnie, z wesołego i jasnego stał się ponury i groźny.

Nasze mamy były bardzo zaniepokojone, burza wisiała nad nami, a my byliśmy zdala od siedzib ludzkich.

Głuche pomruki grzmotów dały się słyszeć, rzeka stała się czarna i wzburzona, chwilami zrywał się silny, kręcący wiatr i wzbijał w górę całe słupy piasku.

Zaczęliśmy pośpiesznie schodzić z góry, chociaż z żalem ją opuszczaliśmy, zajmowała nas bardzo ta szybko zmieniająca się gra barw, którą stąd tak dobrze można było obserwować.

Poszliśmy na dół do miasteczka i weszliśmy do zajazdu. Nasz wioślarz zniósł już tutaj z łódki okrycia i zapasy.

Postanowiliśmy tu przeczekać burzę, chociaż nie było to zbyt przyjemne.

Ledwie stanęliśmy na ganku, gdy zerwał się szalony wichur, zdawało się, że dachy pozrywa i zaczął padać ulewny deszcz pomieszany z gradem. Błyskawice co chwila oświetlały duszną i mroczną izbę, a pioruny poprostu nas ogłuszały.

Skupiliśmy się koło mamy. Jaś wdrapał się jej na kolana, Manusia i Adaś przytulili się do niej, a ja jako najstarsza usiłowałam udawać odważną, ale też za każdym grzmotem chowałam głowę na ramieniu mateczki.

— Co będzie, jeżeli ta burza nie uspokoi się prędko? — odezwała się pani Domańska, siedząca obok na ławie ze swemi dziećmi.

— Nocować tu przecież niepodobna — odpowiedziała mama. — Może znajdziemy gdzie konie?

— Bądźcie panie spokojne, zdaje się, że wypogodzi się wkrótce — powiedział tatuś. — Jest jeszcze daleko do wieczora, bo dopiero południe minęło, z powrotem popłyniemy z prądem, to będzie prędeż.

Rzeczywiście zdawało się, że gwałtowność deszczu zaczyna się zmniejszać, padał jeszcze gęsty i drobny kapuśniaczek.

Wyszliśmy na ganek, ożywczy zapach ziemi roznosił się w powietrzu. Zaczęło się wypogadzać, ale nie tak prędko, jakbyśmy tego pragnęli, bo nowe chmury ukazywały się i deszcz nie ustawał.

Gospodyni nakryła tymczasem stół w izbie czystym obrusem, przyniosła talerze i nastawiła samowar.

Mama otworzyła okna, bo duszno było i wyjęła zapasy. Wszyscy zasiedliśmy do obiadu, humory powróciły, a apetyty były doskonałe.

Zjedliśmy wszystko do ostatniej okruszyny. O trzeciej słońce znowu jasno zaświeciło, opuściliśmy więc zajazd i poszliśmy obejrzeć kościół tutejszy.

Kościółek ten stał na wyniosłości, był mały, drewniany i bardzo stary, otoczony obszernym cmentarzem. Mur naokoło tego cmentarza kruşył się już w wielu miejscach, gdzieniegdzie widać jeszcze było jakieś stare nagrobki, które ocieniają wiekowe drzewa.

Widok stąd jest rozległy; z jednej strony rozciąga się w dolinie miasteczko z domkami otulonymi zielenią, z drugiej zaś widać Wilję daleko, wijącą się w kapryśnych zakrętach i niknącą gdzieś wśród stromych brzegów porośniętych ciemnym lasem.

Wkrótce pomyśleliśmy o powrocie.

Łódka nasza była prawie do połowy napełnio-

na wodą, dużo więc czasu zabrało wypróżnienie jej. My tymczasem zajęliśmy się suszeniem przemoczonych pończoch, gdyż przechodziliśmy przez łakę, gdzie w niektórych miejscach stała woda.

Mama trochę się obawiała, żebyśmy się nie przeziębili, ale słońce znowu dobrze grzało, nie było więc tego niebezpieczeństwa. Wszyscy wpadliśmy w jakąś szaloną wesołość, zapewne tak na nas oddziaływało niezmiernie czyste, orzeźwiające powietrze. Powrót też był nadzwyczaj przyjemny. Łódka płynęła szybko środkiem rzeki, nikt nie potrzebował się bardzo męczyć wiosłowaniem, płynęliśmy z prądem wody, wystarczało lekkie popychanie i kierowanie łódką.

Co chwila spotykaliśmy «płyty» t. j. tratwy, zbite z grubych belek. Na tych tratwach śpiewano tęskne pieśni litewskie lub białoruskie i wszędzie paliły się na nich ogniska, rozkładane na płaskich kamieniach i ubitej ziemi, gdzie, jak na kominie, gotowano sobie jedzenie.

Mama opowiadała nam o Kiernowie, tak jak opisuje o nim Bernatowicz, w swej pięknej powieści «Pojacie».

Nie obyło się jednak bez małego przypadku. Gdyśmy przejeżdżali przez jedną z rap, jakoś nikt nie zauważył kamienia, leżącego głęboko pod wodą, a łódka nasza dosyć obciążona, silnie się zagłębiała i z całym pędem potraçała o niego.

W jednej chwili zakręciła się jak śruba na miejscu i tak mocno się przechyliła, że aż zaczerpnęła trochę wody. Rybak nasz momentalnie wparł wiosło w dno rzeki i odepchnął się z taką siłą, że łódka powróciła do równowagi.

Nagle usłyszeliśmy krzyk i zobaczyliśmy, że Zosia, która siedziała przy brzegu, wypadła z łódki. Tatuś rzucił się naprzód i zdołał ją schwycić za sukienkę, ale główka jej była już w wodzie, dopiero drugą ręką ujął ją za pasek i jak zmoczonego i ociekającego wodą kotka wciągnął zno-

wu na łódkę. Trwało to jedną tylko chwilę, ale zamęt powstał na łódce okropny. Dzieci płakały, pani Domańska zdrętwiała z przerażenia, mama też zbladła jak płótno.

Zosia przestraszona była ogromnie, ale nic jej się nie stało. Obydwie mamusie natychmiast zdjęły jej przemoczone ubranie i obwinęły ją we wszystko co tylko było z okryć i szalów.

Wkrótce przybiliśmy do brzegu. Zosię zaraz położono do łóżka, z obawy, aby jej ta niespodziewana kąpiel nie zaszkodziła.

Po chwilowym niepokoju wszyscy śmieliśmy się z tej przygody, która tak szczęśliwie się zakończyła.

Wieczorem opowiedział nam jeszcze tatuś o «pilach» czyli sypankach, których wszędzie jest mnóstwo na Litwie.

Są to góry ręką ludzką urządzane, podobne do piramid świątyn, na których w starożytnych czasach Litwini rozpalali ogniska i tym sposobem zawiadamiali o bliskości wroga lub zwoływali się na wojnę.

Odtąd gdzie jaką górę zobaczymy, staramy się odgadnąć, czy to nie jest taka pila.

Nazajutrz Zosia wstała zdrowa jak rybka i z dumą opowiadała wszystkim, jakiego tragicznego wypadku była bohaterką.

No, moja Janinko, list mój coś staje się zbyt długi.

Opisz mi też co Ty tam porabiasz, ja zaś obiecuję Ci, że znowu wkrótce napiszę do Ciebie.

*Tvoja*

*Anielka.*

---

LIST II.

*Droga Janinko!*

Wybacz mi, moja Janinko, że tak długo nie pisałam do Ciebie, ale tak mi czas zeszedł, że do-  
prawdy trudno było o spokojną chwilę i odpo-  
wiednie skupienie uwagi, aby się zabrać do listu.  
Teraz korzystam ze słotnego dnia aby pogawę-  
dzić z Tobą, bo mam Ci dosyć dużo do opowie-  
dzenia,

Gwarno i ludno było u nas przez kilka dni  
ubiegłych, bo zjechali do naszych Piliszek pań-  
stwo Kłosińscy, znajomi nasi z Wilna, z trojgiem  
dzieci, Józiem już szóstoklasistą, Jadzią moją  
rówieśnicą, i młodszą znacznie Helenką.

Było nam bardzo wesoło, chwilami może aż  
zanadto hałaśliwie wyrażaliśmy swą uciechę.

Mama i pani Domańska miały trochę kłopotu  
z umieszczeniem wszystkich na noc, ale jak to  
mówi przysłowie, że prawdziwa gościnność roz-  
szerza ściany, tak i u nas dla wszystkich zna-  
lazło się miejsce.

Jadzia, Zosia, Mania i ja spałyśmy w jednym  
pokojū i wieczorem dokazywałyśmy strasznie,  
u chłopców niemniej było wesoło; dziwię się do-  
prawdy, że nasz drewniany dworek wytrzymał tę  
próbę bez szkody.

Dopiero rodzice położyli koniec naszej zaba-  
wie, gasząc światło i nakazując spokój. Zmęcze-  
ni usnęliśmy natychmiast, o, bo na wsi śpi się  
doskonale, gdy przez cały dzień nabiega się do-  
woli na powietrzu.

Państwo Kłosińscy kilka dni zaledwie spędzi-  
li u nas, co nam się wydało bardzo krótko.

Cały ten czas upłynął na przejażdżkach łódką,  
przeplatanych dalszemi przechadzkami.

Raz, cały ranek spędziliśmy na grzybobraniu. Już o szóstej byliśmy w lesie. Rosa była ogromna, my tylko w sandałkach, mieliśmy nogi zupełnie mokre, co nas ogromnie bawiło.

Grzybów w naszym lesie jest bardzo dużo, wkrótce też kosze były pełne wspaniałych borowików, bo mając ich moc taką innymi pogardzaliśmy.

Narwałam przytym całe pęki podkolanów, zwanych wieczornikami, gdyż wieczorem najsilniej pachną, konwalijek też rozkosznie pachnących; oprócz tego storczyków plamistych i pająkowatych, rosnących w wielkiej ilości na wilgotnej łączce i tawuły łąkowej (spirei) wydającej słodki zapach miodu, dodałam do tego jeszcze dzwonek liliowych i delikatnych wachlarzy paproci.

Z tych kwiatów ułożyliśmy z Jadzią i Zosią wspaniałe bukiety i ubrałyśmy nimi stół jadalny i wszystkie pokoje. Na noc trzeba je jednak było wynosić z sypialni, gdyż wydawały zbyt silny zapach.

Powróciliśmy do domu z prawdziwie wilczymi apetytami. Wszystko więc, co było przygotowane na drugie śniadanie znikło w jednej chwili.

Miał to być ostatni dzień pobytu naszych gości. Gdy pan Kłosiński oznajmił nam, że nazajutrz mają zamiar wyjechać, bunt powstał ogólny.

— Doprawdy strasznie pusto nam tu będzie bez państwa — odezwała się mama. — Któż to na wieś wybiera się na tak krótko?

— Wiecie państwo co? — wtrącił tatuś — Musimy obmyśleć jakąś przyjemność na zakończenie. Poświęćcie nam państwo jeszcze dwa dni, zamiast w sobotę będziecie w domu w poniedziałek, to chyba nie może stanowić wielkiej różnicy? Nasz gospodarz skończy zwozić dzisiaj żyto, jutro więc jego konie odpoczną trochę, może zgo

dzi się nam je wynająć, na niedzielę i wybierzemy się na jakąś większą wycieczkę

Państwo Kłosińscy spojrzeli na siebie, potem na błagające miny swych dzieci i zawahali się. My zaś zaczęliśmy już skakać i klaskać w ręce, bo czuliśmy, że nasza sprawa wygrana.

Rzeczywiście państwo Kłosińscy po chwilo-  
wym namyśle zgodzili się na projekt tatusia.

— Dawno już miałem ochotę wybrać się do Trok — mówił tatuś — i pokazać dzieciom ruiny starożytnego zamku. Ale może państwo już znają te miejsca?

Okazało się jednak, że ani pani Domańska, ani państwo Kłosińscy, chociaż stali mieszkańcy Wilna, nigdy tam nie byli.

— To doskonale — powiedział tatuś. — Sądzę, że najlepiej będzie, gdy wyjedziemy stąd w niedzielę raniutko, w takim razie staniemy na miejscu po południu. Musimy jednak przemocować gdzieś w zajeździe, bo jednego dnia nie zdołamy powrócić. Czy zgadzacie się państwo na mój projekt?

Wszyscy przyklasnęli.

— Niewiadomo tylko czy gospodarz zechce nam dać konie na tak długo — powiedziała mama, — musimy go zapytać, a potem się cieszyć.

Właśnie wracali z pola na południe, rzucili-  
śmy się wszyscy hurmem i przyprowadziliśmy z tryumfem ogłuszonego tym gwałtem pana Kry-niewicza.

Robił on trochę trudności, ale gdy mu obiecano dobrą zapłatę, zgodził się w końcu.

Mamusia z panią Domańską zajęły się przygotowaniem zapasów, bo chociaż Troki są powiatowym miasteczkiem, ale przypuszczaliśmy, że tam nic porządnego dostać nie będzie można.

W niedzielę zerwaliśmy się skoro świt i z niepokojem patrzyliśmy na niebo, czy wróży dobrą pogodę.

Ranek był trochę mglisty, słońce wschodziło jakby lekko przyćmione, przytym obfita rosa pokrywała trawę, wszystko więc zapowiadało dzień bardzo piękny.

Uciecha nasza nie miała granic.

Ledwie zdążyliśmy naprędce wypić kawę, konie zajechały. Gospodarz wysłał sianem duży wóz drabiniasty, siedzenia pokryto kilimkami i wśród śmiechu i popychania wdrapaliśmy się wreszcie na wóz. W końcu usadowiła się nasza Kasia, wraz z koszem z prowizjami, obok pana Kryniewicza, który sam miał nas powozić.

Ludno było na naszym wozie, bo oprócz woźnicy siedziało nas dziesięć osób. Na bryczce, gdzie powoził młody i wesoly parobczak, pojechały tylko pani Kłosińska i pani Domańska i zabrały z sobą najmłodsze dzieci, Helenkę i Jasia, którzy byli z sobą w wielkiej przyjaźni, i aby razem to już byli zadowoleni.

Co to była za wesola droga! Zrana nie było jeszcze gorąco, wszyscy więc byli w doskonałych usposobieniach. Mama zaproponowała, żebyśmy co chórem zaśpiewali, nie udawało się jednak, Adaś zaczął ciąć straszne koguty, inni też nie bardzo umieli się trzymać taktu, daliśmy więc spokój tym śpiewom. Zresztą ciągle ktoś miał coś ciekawego do zakomunikowania. Józio, wielki botanik, co chwila chciał wyskakiwać, bo zobaczył przy drodze jakąś ciekawą roślinę. Zosia zapalona do zbierania grzybów chciała znowu zatrzymać wóz, przy każdym borowiku. Starsi musieli ochładzać te zapędy, bo nie zajachalibyśmy do wieczora. Pan Kryniewicz znał doskonale okolicę, więc wiózł nas bocznymi drogami, co było znacznie bliżej, ale za to droga była przeważnie zła i piaszczysta tak, że nie mogliśmy prędko jechać.

Około dziesiątej zatrzymaliśmy się na popas w pięknym lesie sosnowym. Upał już stawał się



dokuczliwy. miły więc był ten wypoczynek w cieniu, nad brzegiem szemrzącego strumyka. Była to prawdziwa majówka. Gdyśmy głód zaspokoiли, biegaliśmy i hukali po lesie. Znaleźliśmy niewielką polankę, na której rosło mnóstwo poziomek, zbieraliśmy je pełnemi garściami wprost do ust. Oprócz tego każde z nas zrobiło mały koszyczek z trzech liści dębowych spiętych patyczkami i zanieśliśmy je pełne poziomki naszym rodzicom, którzy siedzieli pod rozłożystym drzewem.

Spędziliśmy tam około dwóch godzin i z trudem nas zwołano, aby jechać dalej.

Z żalem opuszczaliśmy to miejsce, tymbardziej że gorąco było nieznośne i kurz nam dokuczał porządnie. Oślanialiśmy się starannie parasolami i parasolkami, a oprócz tego moczyliśmy chustki i kładliśmy je sobie na głowę pod kapelusze. Humory pospadały, byliśmy wszyscy trochę senni i znużeni. Z wielkim zadowoleniem powitaliśmy ukazującą się z oddali wieżę kościoła trockiego.

O trzeciej po południu stanęliśmy nareszcie na miejscu. Miasteczko to dosyć brudne, leży jakby na półwyspie, gdyż jezioro otacza je prawie wokoło. Zatrzymaliśmy się w jakimś niepozornym zajeździe. Mama kazała usmażyć jajecznicę i nastawić samowar. Nic więcej tam dostać nie było można, ale na szczęście mieliśmy dostateczną ilość zapasów.

Wypocząwszy trochę poszliśmy naprzód obejrzeć piękny kościół tutejszy. Jestto fara murywana, z dwoma wieżami, wzniesiona przez W. Księcia Witolda w r. 1409. Dzisiaj jednak różni się bardzo od pierwotnej, gdyż była trzy razy przebudowywana w XVII, XVIII i XIX wieku. Ksiądz właśnie kończył nieszpory, wesliśmy więc do kościoła.

Wnętrze jest też okazałe. Wielki ołtarz i ambona rzeźbione z drzewa.

Widzieliśmy kilka obrazów i tatuś mówił, że to jakiś dobry malarz musiał je malować.

Najcenniejszy jest jednak słynący cudami obraz Matki Boskiej.

Obraz jest malowany na blasze miedzianej, umocowanej na desce dębowej i wyobraża Najświętszą Pannę w siedzącej postawie. Prawym ramieniem obejmuje dzieciątka Jezus, a w lewej trzyma potrójny kwiat róży. Malowidło jest w stylu bizantyjskim, ozdobione koroną i szatą srebrną, pozłacaną.

Podanie niesie, że obraz ten został podarowany Witoldowi przez cesarza bizantyjskiego Manuela II Paleologa.

Podobno jest to ten sam obraz, który cesarz bizantyjski Jan Kamonen, po zwycięstwie nad Hunnami w r. 1123, wprowadził uroczyście do Carogrodu, na srebrnym wozie, ciągniętym przez cztery białe konie.

Uprzejmy proboszcz opowiedział nam to wszystko i pokazał też skarbiec. Jest tu sporo cennych rzeczy, aż cztery złote korony, z których dwie mają pochodzić od Witolda. Są też starożytny monstrancje, piękne ornaty i dużo ozdób złotych, srebrnych i z drogich kamieni, złożonych tutaj jako pobożne vota.

Z kościoła poszliśmy wprost nad jezioro, musieliśmy się śpieszyć, bo już było po piątej. Widzieliśmy z daleka dawny kościół Bernardynów, teraz przerobiony na cerkiew. Rzuciliśmy tylko okiem na zwaliska zamku lądowego, leżącego w gruzach. Część tych zwalisk jest odrestaurowana i zamieniona na więzienie. Obok znajduje się dawny klasztor Dominikański, zamknięty i chylący się do upadku.

Ruiny te leżą na brzegu jeziora, które ma aż trzy nazwy: Brozoła, Skajście i Gałwe, co oznacza głowa albo główne, podanie bowiem niesie,

że jezioro to, co rok wymaga głowy żywego człowieka, ptaka lub zwierzęcia jako ofiary.

Inne znowuż podanie głosi, że u brzegu na dnie jeziora jest przykuty łańcuchem kufer ze skarbami Kiejstuta. Kufer ten co wiosną wypływa na powierzchnię, ale ująć się nie da.

Na jeziorze stało moc łódek. Tatuś wybrał łódki nowe i mocne, bo jezioro jest głębokie i o wypadek [nie trudno.



Ruiny zamku trockiego na wyspie.

Puściliśmy się nareszcie do ruin zamku wyższego, na wyspie. Naprzód jednak chcieliśmy objechać wkoło tę wyspę, aby zobaczyć ją dobrze ze wszystkich stron, jak się przedstawia z daleka, a przytym zwiedzić inne wysepki na jeziorze, a jest ich 12. Tuż naprzeciwko znajduje się mała wysepka, cała pokryta bujną trawą i niewielkimi zaroślami. Stoi na niej kilka krzy-

ży i skutek tego wygląda ona wogóle jak jakieś stare cmentarzysko.

Wyobrażaliśmy sobie, że pod tą trawą leżą może popioły pogańskich Litwinów, bo, że krzyż stoi, niczego to nie dowodzi, wiadomo przecież, że chrześcijanie wszędzie stawiali swe godła na dawnych uroczyskach pogańskich.

Jakiś dziwny smętek ogarnął nas.

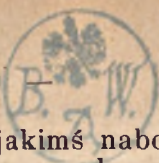
— Patrząc na to cmentarzysko, staje mi w oczach obraz dawnych pogrzebów — powiedziała mama głosem przyciszonym, jakby mówiła sama do siebie. — Widzę nadpływającą łódź wysoko wysłaną zielenią, a na niej spoczywające zwłoki. Cały rój innych łodzi otacza ją, dymią zapalone pochodnie i rozlega się brzęk metalowych narzędzi, odpędzających Pokula (djabła). Płaczki zawodzą żałośnie, śpiewnym, płacziwym głosem i ronią obfite łzy, które zbierają do łzawnic. Tymczasem na wyspie rośnie stos i wkrótce strzelisty płomień obejmuje zwłoki, wraz z różnemi rzeczami, których umarły używał za życia, a których mógł potrzebować na tamtym świecie. Prochy te złożone w popielnicy, tu może spoczywają.

Nam też zdawało się, że ujrzelśmy oczami duszy ten cały korowód hałaśliwy, ale zarazem poważny; chociaż naprawdę może tu nigdy nikt nie chowano.

Pojechaliśmy potym do dużego jakby przyładka, wrzynającego się głęboko w jezioro. Znajduje się na nim wzgórze dziwnego kształtu, jakby podłużna, ścięta u góry piramida. Tatuś powiedział nam, że jestto sypanka «pila», o której mówi Krzywicki, że była twierdzą obronną, zanim zamek powstał. Otacza ją teraz ogród spacerowy.

Nareszcie wylądowaliśmy na wyspie z ruinami.

Kontury zębatych i poszczerbionych murów ostro się odcinały na bladym niebie i odbijały się w gładkiej powierzchni jeziora.



Obchodziliśmy je z jakimś nabożnym uczuciem, jakbyśmy byli wobec grobowca bohatera.

Tu bowiem Kiejstut, ostatni z książąt trockich żył zamknięty, nie chcąc się wyrzec starych bogów. Zrywał się wprawdzie jak lew w obronie swych wierzeń lecz padł w tej walce.

Zginął, zamordowany w jakimś lochu krewskiego zamku, od zbrodniczej ręki zbirów, może nasłanych przez jego własnego synowca Jagiellę, który pragnął zerwać z dawnymi tradycjami?

Wprawdzie Jagiello potym sprawił wspaniały pogrzeb stryjowi i okazywał wielki żal po jego zgonie, plama ta jednak pozostała na nim zawsze, choć może zbrodnia stała się mimo jego woli. Naturalnie krzyżackie intrygi głównie przyczyniły się do tej bratobójczej walki.

Silne mury zamku trockiego kruszą się teraz i rozpadają i jeżeli nikt nie postara się o podtrzymanie tego starożytnego zabytku, zniknie on wkrótce bez śladu, tak jak stary gród kiernowski.

Ogromne zamczysko zajmowało prawie całą wyspę, obejmującą cztery morgi. O ile można wnosić z ruin, zamek był budowany w stylu gotyckim. Mur z kamieni i cegły opasywał całą wyspę. W czterech miejscach, gdzie mur się załamuje, występują cztery bastjony mniej lub więcej zniszczone.

— Tatusiu — zawołałam, patrząc na te ogromne głazy w murach — ile to pracy musiało kosztować, żeby tu przywieźć tyle kamieni i chyba ludzie byli wówczas o wiele silniejsi.

— Masz rację, moje dziecko — odpowiedział tatuś — rzeczywiście podziw obudza ogrom pracy, jaki tu włożono. Spójrz na grubość murów zamku. Jestto też jedno, z najokazalszych dzieł ówczesnego budownictwa.

Weszliśmy do wnętrza przez bramę w straż

niczej wieży, znacznie wznoszącą się nad murami zamku.

Jeszcze przed 20 laty podobno były tu schody w dosyć dobrym stanie i można było wejść na szczyt, teraz pozostały tylko ślady stopni. Stąd niegdyś prowadził zwodzony most do niższego zamku lądowego.

Poszczerbione zębem czasu ściany zamku, zbudowanego w obszerny, podłużny czworobok, sterczały pozbawione dachu.

Weszliśmy do jednej z obszernych sal.

— Patrzcie, tu widać jeszcze jakieś malowidła na ścianach — zawołała Zosia — a tu koło okien i drzwi są resztki sztukaterji.

— A tak — odpowiedział pan Kłosiński — Syrokomla opisuje niektóre z tych fresków, a malarz Smokowski w początku XIX w., mógł jeszcze odrysować kilka ułamków. Teraz zaledwie ślady tych malowideł odróżnić można.

— Jak tu inaczej niegdyś być musiało — odezwała się mama — gdy Kiejstut to zameczysko z takim nakładem pracy wybudował i zamieszkiwał tu ze swoją ukochaną Birutą.

— Pierwotny zameczek był podobno drewniany — dodał tatuś, — postawiony przez Giedymina, ojca Kiejstuta.

— Niech nam tatuś powie co o Birucie — prosiłyśmy z Zosią.

— Biruta była kapłanką bogini Praurymy w Połędzie, Kiejstut powracając z jakiejś wyprawy zachwycił się nią i porwał, ponieważ dobrowolnie nie chciała zostać jego żoną; ślubowała bowiem bogom. — Kiejstut zapewne musiał złożyć duże ofiary na rzecz świątyn i poślubił Birutę. A jaki tu świetny i wspaniały dwór był za czasów Witolda, syna ich, jakie festyny i turnieje wyprawiał ten książę na cześć różnych koronowanych głów, które go odwiedzały!

— A przytym twierdza to była niezdobyta —

dodał pan Kłosiński. — Miasto też rosło, handel rozwijał się. Wszyscy znajdowali tu opiekę i przytułek: Rusini, Tatarzy, Żydzi i Karaimi, bez różnicy wiary i narodowości.



Ślady fresków w ruinach zamku trockiego.

— Niedługo jednak ta świetność trwała — wtrącił Józio — czytałem niedawno, że już za następców Witolda miasto znacznie podupadło.

— Ale później Kazimierz Jagiellończyk znowu je podniósł i doprowadził do kwitnącego stanu,

gdyż bardzo lubił tu przebywać. Dopiero w r. 1655 w czasie wojny z carem moskiewskim, Troki zostały spalone, zamki zrujnowane i odtąd nigdy już z gruzów podnieść się nie mogły — dodał pan Kłosiński.

— Doprawdy, trudno przypuścić, patrząc na to nędzne, brudne miasteczko, że miało ono tak świetną przeszłość — powiedziała Jadzia z zamysłoną miną.

Tatusz pokazał nam jeszcze resztki pięknych lukowych sklepień, z czego także można było wnosić, że zamek był w stylu gotyckim.

— Mój Boże, jaka szkoda, że to wszystko tak zniszczone — zawołałam z żalem — byłby to taki wspaniały zabytek!

Rozbiegliśmy się wszyscy po ruinach, co chwila ktoś znajdował coś ciekawego do oglądania.

— A gdzie to są Stare Troki? — zapytał Adaś — Czy tam są także ruiny?

— Był i tam zamek budowany przez Giedymina, ale teraz prawie nic z niego nie pozostało. Stare Troki leżą o cztery wiorsty od Nowych Trok i tam pierwaj Kiejstut mieszkał. Zamek lądowy w Nowych-Trokach był też budowany jeszcze za Giedymina, ale nie był on dostatecznie obronny — odpowiedział pan Kłosiński.

Starsi odeszli trochę od nas, żywo rozmawiając i dopiero głośny wykrzyknik Tadzia zwrócił ich uwagę w naszą stronę.

Z wielkim przestachem ujrzeli, że na jednym z kruszących się słupów stoi Adaś i z uciechą ogląda się wokoło. Wdrapał się tam z łatwością po wystających kamieniach, jak po stopniach. Wysokość wprawdzie nie była znaczną, dostateczną jednak, aby sobie roztrzaskać głowę, gdyby się stamtąd zleciało.

Wszyscy stanęli i bezradnie spoglądali na mego brata, który nie rozumiał wcale, czemu mają takie zafrasowane miny. Wchodząc nie zauważył,





...panowie stanęli z rozpostartym pledem....

że oberwał nogą kilka kamieni, przez co utrudnił sobie zejście.

— Jak ty stamtąd zejdziesz? — wołała mama.

— Niech się mamusia nie boi — odpowiedział Adaś — przecież to nie trudnego.

Nie było to jednak łatwo. Złożyliśmy u stóp słupa wszystkie okrycia, jakie mieliśmy z sobą, a uzbierało się tego dosyć dużo od tyłu osób.

Adaś zaczął schodzić, parę razy zawisł na rękach, nie mogąc znaleźć oparcia dla nóg i gdyby kamień się urwał, mógłby porządnie się potłuc.

Panowie stanęli z rozpostartym pledem, aby go schwycić, gdyby spadał. Nie wiem jednak, czyby się dobrze czuli, gdyby rzeczywiście spadł na nich ten ciężki chłopak.

Ale Adaś zwinny jest i zręczny, po drzewach umie łązić jak kot, zsunął się więc bez wypadku na miękkie posłanie. Miał tylko trochę ręce podrapane no, i ubranko mocno ucierpiało. Mała ta przygoda skończyła się znowu jak najlepiej, Adaś dostał jednak porządną burę za napędzenie nam strachu.

Wracaliśmy do naszego zajazdu już o zmierzchu. Zjedliśmy szybko kolację, młodsze dzieci ułożono spać na grubym pokładzie siana, rozesłanego w dwóch izbach.

Rodzice i my, starsza młodzież, chcieliśmy jeszcze pójść trochę nad jezioro.

Noc była księżycowa, nad wodą snuły się lekkie mgły i układały w dziwne kształty. Wyglądało to, jakby korowody duchów starych Litwinów unosiły się nad jeziorem, trzymając się za dłonie. Czarna sylwetka ruin na wyspie wydawała się, jakby jakiś zaczarowany zamek wprost z wody występujący.

Niebo było jasne, przepaściste, a cały krajobraz, zalany srebrnym światłem, był dziwnie wspaniały.

Długo nie mogliśmy się oderwać od tego pięk-

nego widoku. Rodzice nam w końcu przypomnieli, że musimy się przespać choć trochę, bo jutro skoro świt trzeba wracać do domu.

Czuliśmy się naprawdę bardzo znużeni. Rozmarzeni i poważnie zamyśleni, co nam, dzieciom, zresztą dosyć rzadko się zdarzało, wracaliśmy do naszego prawdziwie cygańskiego obozu.

Nazajutrz o świcie byliśmy gotowi do drogi i zaledwie słońce w całej wspaniałości wypłynęło na niebo, już wyruszyliśmy do domu.

Musieliśmy zboczyć trochę do stacji kolejowej Jewie, gdyż państwo Kłosińscy, tu chcieli pozostać i jechać wprost do Wilna.

Znowu zbyt się rozpisałam, droga moja Ninko.  
D a j b u z i

*Twojej*

*Anielce.*

---

LIST III.

*Droga Janinko!*

Wywdzięczając się za Twą prędką odpowiedź, nie chcę Ci długo kazać czekać na mój list, skoro twierdzisz, że Ci moje bazgroty przyjemność sprawiają.

Cieszę się, iż też dobrze się bawisz w Szczawnicy, ale chyba nie tak jak ja. Nigdy jeszcze nie było mi tak wesoło, jak w te wakacje.

Wdzięczni jesteśmy tatusiowi, że zapoznał nas ze swą rodzinną Litwą. Inaczej tu trochę, ale jest mi swojsko i miło. Nieby mi do szczęścia nie brakowało, gdybyś Ty, droga moja, te wszystkie ciekawości ze mną oglądała!

Prosiłaś mnie, żebym Ci co napisała o Wilnie, dotąd jednak bywałam tam tylko na krótko, jeździliśmy głównie po sprawunki i nic prawie nie widziałam. Przed kilku dniami wybraliśmy się trochę na dłużej, aby coś zwiedzić. Pp. Kłosińscy zaprosili nas do siebie na noc. Tatuś zabrał nas tylko troje starszych, t. j. Adasia, Manię i mnie. Mamusia z Jasiem została w domu.

Wyjechaliśmy z Piliszek w sobotę rano, a ponieważ do kolei jest dosyć daleko musieliśmy wyruszyć z domu bardzo wcześnie.

Pp. Kłosińscy już nas oczekiwali, a my zaraz po śniadaniu wybraliśmy się na wędrowkę po mieście. Pan Kłosiński wraz z Józiem i Jadzią towarzyszyli nam.

Z Święto-Jerskiego prospektu, gdzie jest ich mieszkanie, najbliżej do katedry, tam też naprzód poszliśmy. Jestto budynek dosyć ciężki i niski, szeroko rozsiadły, przypomina styl grecki. Fasada ozdobiona kolumnadą i posągami apostołów. ZaciekaWiła nas dzwonnica, składająca się z wyraźnych dwóch części. Niższa, bardzo stara, ma wąskie okienka jak strzelnice i bardzo grube mury. Z jej wierzchołka niegdyś podobno arcykapłan pogański Krewe-Krewejto ogłaszał ludowi wolę bogów. Wyższa jej część jest już nowszego pochodzenia.

Weszliśmy do świątyni poważnej i obszernej. Pan Kłosiński, który zna doskonale Wilno i jego historję, opowiedział nam, że katedra ta założona w końcu XIV wieku paliła się kilka razy, a w tej formie jaką ma teraz odbudowano ją za Stanisława Augusta.

Robotę tę polecono architektowi Guciewiczowi, który wykonał ją jak mógł najlepiej, niegdyś jednak była zapewne daleko piękniejszą. Nad wielkim ołtarzem jest obraz św. Stanisława, malowany przez Smuglewicza. Z prawej strony znajduje się najpiękniejsza kaplica św. Kazimie-

rza. Zaczął ją budować Zygmunt Stary, a do-  
kończył dopiero Władysław IV; tu też jest złożo-  
ne jego serce. Ażurowe drzwi prowadzą do  
niej, a naprzeciwko nich znajduje się ołtarz. Na  
ścianie rodzaj płaskorzeźby przedstawia Matkę  
Boską. Na ołtarzu stoi trumna srebrna wysoko  
podniesiona i wsparta na ramionach dwóch anio-  
łów. Pod nią obrazek św. Kazimierza, który ma  
trzy ręce. Podobno malarz przez omyłkę wyma-  
lował trzecią rękę, a potem nie mógł jej zamalo-  
wać i tak pozostała. Ściany są do połowy wy-  
łożone ciemnym marmurem, a po nad nim  
z obydwuch stron kaplicy są bardzo ładne  
freski.

W zagłębieniach muru stoją posągi wszyst-  
kich Jagiellonów, dawniej podobno były one sre-  
brne, dziś tylko posrebrzane.

Następnie poszliśmy za wielki ołtarz, gdzie po  
paru stopniach schodzi się do maleńkiej celi  
o murach poczerniałych od starości i dymu. Tu  
zachowuje się pogański ołtarz, na którym palił  
się Znicz, święty ogień pogański, bo była tu nie-  
gdyś świątynia Perkuna. Gdy wyszliśmy z ko-  
ścioła, minęliśmy szybko zeszpecony plac katedral-  
ny i poszliśmy przez skwer zwany Cielętnikiem  
i ogród botaniczny na górę Zamkową.

Góra ta stroma i urwista wznosi się w kształ-  
cie ściętego stożka i jest teraz bardzo starannie  
utrzymaną. Mnie coprawda lepiejby się podoba-  
ła, żeby była więcej dziką. Prowadzi na nią dro-  
ga kręcona w kształcie ślimaka. Na szczycie  
znajduje się wieża pozostała z dawnego zamku  
Giedymina, odświeżona i odnowiona, co jej wcale  
uroku nie dodaje i tu mieści się mleczarnia i cu-  
kiernia Oprócz tego z dawnych ruin został tyl-  
ko kawał muru sterczący samotnie.

Jak niesie podanie, u stóp tej góry, w niezmier-  
nej tu rozciągającej się puszczy, zabił niegdyś

Giedymin żubra, a potem kazał rozbić obóz na górze, aby odpocząć i usnąć.

We śnie ukazał mu się wilk żelazny, w którym wyły głosy tysięcy wilków.

Gdy wielki książę się obudził, pytał wszystkich coby ten sen miał oznaczać, ale nikt mu tego wytłomaczyć nie umiał. Dopiero arcykapłan Lizdejko, tak nazwany od Lizdos (gniazdo po litewsku), gdyż był znaleziony przez Witeneza, ojca Giedymina w gnieździe orłem, wyłożył mu, że wilk żelazny oznacza warowny gród, a tysiączne głosy z niego wychodzące, licznych jego mieszkańców.

Giedymin założył więc w tym miejscu zamek i nazwał go Wilno od wilka. Chociaż nazwa ta prędzej pochodzi od wilnius (po litewsku fala).

Widok stąd jest czarujący. Tuż prawie u stóp góry wije się Wilja, a do niej wpada Wilenka. Z prawej strony widać zielone wzgórze antokolskie, a z lewej w dali czernieją lasy po obydwóch brzegach rzeki rozsiadłe — Zakreta i Zwierzynca. Z drugiej strony mamy u stóp swoich całe miasto z licznymi wieżycami kościołów, a na pierwszym planie skupiające się w jedną całość ogrody: cieletnik, botaniczny i bernardyński opasane z boku Wilenką.

Do tej niewielkiej lecz bystrej rzeczki staczają się w stromych osypiskach zielone góry. Jedna góra Bekieszowa, tak nazwana od Bekiesza, przyjaciela Stefana Batorego, którego jako arjanina nie chciano pochować na cmentarzu, i tu złożono jego zwłoki. Druga zaś Trzykrzyska, gdyż, jak mówi legenda, stąd stracili poganie do rzeki trzech franciszkanów przywiązanych do trzech krzyży. Dawniej stały na niej trzy krzyże, teraz już ich niema.

Po obiedzie poszliśmy jeszcze obejrzeć kościół św. Jana dawniej uniwersytecki.

W tych murach kształcił się Śniadecki, potem Mickiewicz i tylu innych poetów i uczonych. Teraz jest tu gimnazjum — kształcą się tu więc jeszcze, myślą i cierpią. Smutno jednak patrzeć na te mury, gdzie tyle wspomnień, tyle pamiątek, a tak wszystko opuszczone i zniszczone! Weszliśmy do kościoła. Kościół ten budowany za Stefana Batorego, był jednak od tego czasu trochę przerobiony. Robi bardzo silne wrażenie, wysoki i obszerny, oświetlony jakby jakimś księżycowym światłem, pobudza do nabożnego skupienia. Ambona jest podobno jeszcze ta sama, z której mówił kazania Piotr Skarga, wielki kaznodzieja za Zygmunta I. Koło wejścia wmurowana jest tablica pamiątkowa Mickiewicza z jego popiersiem, ubrana zawsze wieńcami. Tyle miasto, które on tak ukochał, mogło zrobić dla jego pamięci... Znajduje się tu kilka bardzo pięknych obrazów, pędzla Czechowicza.

Po wyjściu stąd udaliśmy się wązkami i ciasnymi uliczkami, tworzącymi prawdziwy labirynt w środku miasta, do kościoła św. Mikołaja. Zdawało nam się, że przeniesiono nas gdzieś w średniowieczne czasy, jak to nieraz widywaaliśmy rysunki dawnych miast. Uliczki te zwykle brudne i hałaśliwe, dzisiaj przy sobocie wyjątkowo czyste i ciche, jakby zadumane uzupełniały złudzenie.

Kościół św. Mikołaja, najstarszy podobno w Wilnie, jest jedynym, gdzie obecnie kazania i śpiewy bywają w języku litewskim. Kościółek pochylił się już do ziemi, zresztą niczem nie zwrócił naszej uwagi, bo bardzo niepozornie wygląda.

Wracając do domu przechodziliśmy przez plac Broscowy. Z prawej strony wychodzi tu front dawnego uniwersytetu i mieszczą się w tych salach muzea ubożuchne i zniszczone. Naprzeciwko stoi pałac gubernatora, brzydki budynek. Jedna jego ściana pękła i grozi runięciem, gdyż, jak nam mówił pan Kłosiński, płynie tu pod zie-

mią bystry potok, Koczergą zwany i wlewa swe wody do Wilji. Potok ten podmył grunt i ciężki budynek zaczął się usuwać. W domu dopiero uczułam się tak zmęczoną jak nigdy po najdłuższej przechadzce. Tatuś mówił, że to powietrze miejskie tak męczy, gdyż jest takie duszne, a my już odzwyczailiśmy się od niego.

Pp. Kłosińscy i tatuś mieli zamiar pójść jeszcze tego wieczora do polskiego teatru, który w lecie mieści się w ogrodzie bernardyńskim. My zaś odpocząwszy trochę bawiliśmy się wesoło, w czym nam dopomagała panna Julja, siostrzenica pani Kłosińskiej, bardzo miła i wesoła osoba.

Wcześniej jednak poszliśmy spać, bo znużenie nas znowu ogarnęło.

Nazajutrz rano zaprowadził nas tatuś do kościoła św. Anny. Kościółek ten budowany w końcu XIV wieku jest istnym pieścidełkiem. Tatuś powiedział, że jestto czysty gotyk i rzeczywiście jego strzeliste wieżyczki zdają się unosić do nieba. Jest cały z czerwonej cegły, ale ta cegła tak wyrobiona, że wygląda jakby to były jakieś koronki. O nim to podobno Napoleon, będąc w Wilnie, powiedział, że gdyby mógł chciałby go przemieścić na dłoni do Paryża.

Obok stoi cięższy, większy, ale też bardzo piękny kościół po-bernardyński, z ładną dzwonnica, wybudowany w końcu XV wieku.

Wsiedliśmy na dorożkę i kazaliśmy się wieść przez most na Wilence, na Zarzecze.

Cudna jest wszędzie przyroda w Wilnie. Całe miasto rozsiało się na pagórkach, co chwila, gdy trochę ulica w górę idzie, odsłaniają się piękne widoki. W drodze z Zarzecza na Antokol zobaczyliśmy dużą stożkowatą górę, wyższą od innych, a jak podanie niesie, ma to być mogiła Giedymina.



Na Antokolu wstąpiliśmy do kościoła świętego Piotra. Piękny, bardzo obszerny kościół niedawno odnowiony. Całe ściany pokryte są ozdobnymi ornamentacjami, co czyni go podobnym do jakiejś wspaniałej sali. Pod tym kościołem odbywają się na świętego Piotra i Pawła kiermasze.



Ostra Brama w Wilnie.

Tatusz opowiadał, że bardzo to ładnie wygląda, gdy wśród zieleni przytykającego lasu antokolskiego rozłożą się ludzkie obozowiska.

W Dużo, dużo rzeczy możnaby jeszcze opisać. Kościoły są tu bardzo liczne, niektóre z nich są zamknięte lub obrócone na inne cele. Wspom-

mnę jeszcze o Ostrej-Bramie z cudownym obrazem Matki Boskiej, o którym już musiałaś nieraz słyszeć. Tej właśnie Matce Boskiej nasz Mickiewicz w pięknym swoim poemacie «Pan Tadeusz» w gorących słowach dziękuje za swe cudowne wyzdrowienie.

Po obiedzie musieliśmy już wracać do domu, nie mieliśmy więc czasu nic więcej zwiedzać. Żałowałam szczególnie, że nie widziałam pięknych okolic Wilna, bo jest tu pobobno mnóstwo malowniczych ustroni.

Tatuz obiecuje, że na przyszły rok pojedziemy może dalej, do serca Litwy, na Żmudź, jest tam podobno dużo ciekawych pamiątek z czasów walk z Krzyżakami, a przytem bardzo piękna przyroda.

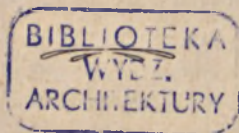
Wkrótce już się skończy swobodne bujanie i wówczas zobaczymy się, droga Janinko.

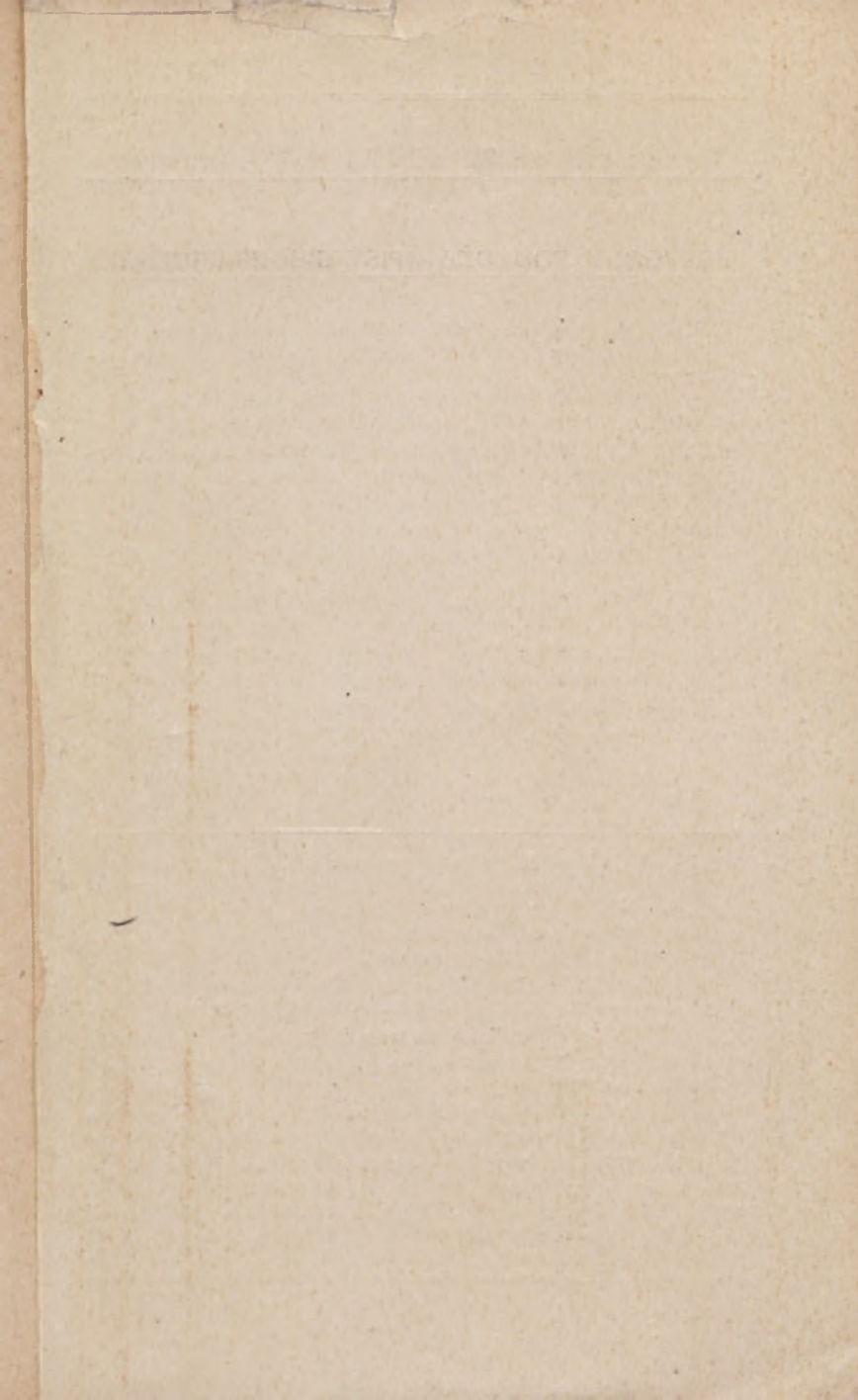
Na szczęście tak jest w życiu, że we wszystkim coś dobrego znaleźć można, otóż chociaż będę bardzo żałowała wsi, ale cieszę się, że znowu z Wami się spotkam, koleżanki moje.

Dowidzenia zatem wkrótce na ławie szkolnej.

*Tvoja*

*Anielka.*





PRZYGODY. PODRÓŻE. OPISY GEOGRAFICZNE.

FERRY G. Wędrowiec leśny. Słynna powieść dla młodzieży, oprac. Wł. Umiński, z 5 rycinami kolorowymi, w ozdobnej oprawie 1 20

GRUSZECKI A. Wśród Tatarów. Powieść dla młodzieży, z licznymi rycinami w opr. 1 20, w opr. ozdob. 1 50

d'HERVILLY E. Przygody chłopca przedhistorycznego. Zajmujące opowiadanie o bardzo dawnych czasach, z 15 rycinami w ozdobnej oprawie rb. 1, w płótno angielskie 1 40

KAMIŃSKI Zb. Klondyke. Przygody poszukiwaczy złota, podł. E. Bartusa, z 4 kolorowymi rycinami, w oprawie ozdobnej. 1 —

MAËL P. W Tajemniczym kraju. Nadzwyczaj zajmujące przygody dwojga dzieci porwanych, z liczn. ryc. w opr.— 60

NANSEN F. Wśród lodów i nocy. Opracowane dla młodzieży przez Wł. Umińskiego, z liczn. ryc., w opr. — 75

UMIŃSKI W. Pole djamentowe. Przygody dwóch przyjaciół. Z 4 rycinami kolor. w oprawie 1 —

— — w oprawie w płótno angielskie 1 40

— Zwycięzcy oceanu. Powieść dla młodzieży. Wydanie II, z rycinami, w oprawie 1 20

CHMIELEWSKI K. Obrazy złem polskich. Wyjątki i piękniejsze opisy oraz utwory poetyckie, przedstawiające w sposób barwny, malowniczy okolice naszego kraju.

Z licznymi rycinami w oprawie 1 20

W oprawie w płótno angielskie 1 50

KORZEŃSKI J. Obce ludy, obce kraje. Ciekawe opisy podróżników, opracowała Antoszka, z 68 rycinami, w opr. 1 —

POPŁAWSKI J. Ciekawe obrazy z życia ludów z 12 podwójnymi tablicami kolorowanymi i 12 drzeworytami typów, w pięknej oprawie z ryciną 1 60

NAŁKOWSKI W. Geografia malownicza. Z wrażeń podróżników. Cz. I. Australja z Polinezją, z liczn. ryc. w opr.— 90

SCHNEIDER O. dr. Atlas przyrodniczo-geograficzny. Typy krajobrazów oraz ludzi, zwierząt i roślin, opracował A. Słóarski. 18 podwójnych tablic z 600 wizerunkami, 15 mapek i 1 podwójna mapa pogładowa. Wydanie II 2 25